

SYRENA
eli
Pani
HANCOCK

IMOGEN
HERMES
GOWAR

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wrzesień 1785

Gabinet Jonaha Hancocka ma kształt klina wyłożonego kasetonami niczym kajuta na statku, pobielone ściany i czarne listwy przypodłogowe. Belki sufitowe pasują tu do siebie jak ulał. Na Union Street śpiewa wiatr, krople deszczu tłuką o szyby, a pan Hancock, wsparty na łokciach, pochyla się i kryje twarz w dłoniach. Przesuwając palcami po głowie, odkrywa kępkę szorstkich włosów, najwyraźniej pominiętych przez balwierza, i dotyka ich przez chwilę z lekkim zaciekawieniem, ale bez złości. Prywatnie pan Hancock niezbyt przejmuje się swoją aparycją; w towarzystwie nosi perukę.

To czterdziestopięcioletni zażywny jegomość, odziany w wełnę czesankową, barchan i płótno, solidne, znajome materiały, które pasują do jego łysiejącej głowy, srebrzystego zarostu na obwisłych policzkach i szorstkiej poplamionej skóry na czubkach palców. Nie jest przystojny i nigdy nie był (kiedy tak siedzi na zydlu, jego wielki kałdun i chude nóżki nadają mu wygląd szczura przycupniętego na słupku), ale mięsistą twarz ma życzliwą, a małe oczka o bladych powiekach zdają się bystre i ufne. Oto człowiek skrojony na miarę swojego statusu: syn kupca, który także był synem kupca – z dziada pradziada mieszkający w Deptford – który nie powinien wyrażać zaskoczenia czy zachwyty widokiem rzadkich rzeczy przechodzących przez jego spracowane ręce, lecz wy-

ceniać, spisywać nazwy i liczby, i wysyłać do tętniącego życiem, kwitnącego miasta na drugim brzegu rzeki. Statki, które posyła w świat – *Orzeł*, *Kalliope*, *Lorenzo* – wypływają i wracają, podczas gdy Jonah Hancock, najspokojniejszy z ludzi, każdej nocy zasypia w tym samym pokoju, gdzie pierwszy raz zaczerpnął tchu.

Światło w gabinecie jest przygaszone i ma w sobie mrok nadciągającej burzy. Deszcz leje się strumieniami. Księgi rachunkowe leżą otwarte na biurku, pełne słów i liczb, pełzających niczym robactwo, lecz pan Hancock nie myśli o pracy i z wdzięcznością nasłuchuje dobiegającego zza drzwi szurania.

Aha, to na pewno Henry, myśli sobie, ale kiedy odwraca głowę, widzi, że to tylko kotka. Stoi u dołu schodów, z zadkiem w górze i tylnymi łapkami rozstawionymi szeroko na ostatnim stopniu, przednimi przyszpilając do podłogi popiskującą mysz. Drobną pyszczek kotka ma otwarty, zębki błyskają triumfalnie, lecz jej pozycja jest niepewna. Żeby się poprawić, kalkuluje pan Hancock, będzie musiała wypuścić zdobycz.

– Psik! – mówi pan Hancock. – Uciekaj!

Kotka tymczasem chwyta mysz zębami i czmycha w głąb korytarza. Nawet gdy znika z zasięgu jego wzroku, pan Hancock słyszy taneczny tupot łapek i stłumione odgłosy mysiego ciała, które uderza o drewnianą podłogę, gdy kotka raz po raz je podrzuca. Choć wielokrotnie przyglądał się tym zabawom, jej pytające, rozdzierające miauknięcia za każdym razem brzmią w jego uszach nieprzyjemnie ludzko.

Kręcąc głową, wraca do biurka. Mógłby przysiąc, że to Henry szedł na dół po schodach. Oczami wyobraźni widzi, jak jego wysoki, chudy syn, z twarzą okoloną kasztanowymi lokami, w białych pończochach, zatrzymuje się, by z uśmiechem zajrzeć do gabinetu. Wokół niego tańczą drobinki kurzu. Pan Hancock nieczęsto miewa takie wizje, lecz kiedy już się zdarzają, nieodmiennie go niepokoją, albowiem Henry Hancock urodził się martwy.

Pan Hancock nie jest dziwakiem, lecz nie potrafi pozbyć się wrażenia, że z chwilą, gdy jego żona złożyła głowę na poduszce łóżka, w którym przyszedł na świat ich syn, i wydała ostatnie tchnienie, jego życie zboczyło z kursu. Zdaje mu się, że toczy się ono gdzieś blisko, oddzielone od niego ledwie cienką warstwą powietrza i szansą, i od czasu do czasu widzi je kątem oka, jak gdyby skrywająca je zasłona uniosła się na chwilę. Na przykład w pierwszym roku wdowieństwa pewnego razu, podczas gry w karty, poczuł napierające mu na kolano ciepłe ludzkie ciało i spuścił wzrok, spodziewając się widoku pulchnego dziecięcia, które uczepiwszy się jego krzesła, próbuje dźwignąć się na nogi. Dlaczego więc był tak przerażony, gdy zamiast tego ujrzał lewą rękę Moll Rennie, sunącą po jego udzie? Kiedy indziej, na festynie, jego uwagę przykuł kolorowy bębenek, więc go kupił i dopiero w połowie drogi do domu przypomniał sobie, że nie ma małego chłopca, któremu mógłby go dać. Minęło piętnaście lat, wciąż jednak zdarzają się chwile nieuwagi, kiedy pan Hancock słyszy na ulicy głos albo czuje, że ktoś szarpie go za nogawkę spodni. Henry, myśli wtedy, jak gdyby wciąż miał syna.

Jego żona Mary nigdy nie odwiedza go w ten sposób, choć za życia była dla niego prawdziwym błogosławieństwem. Zmarła, mając trzydzieści trzy lata – łagodna kobieta, która widziała wiele na tym świecie i była gotowa wyprawić się na tamten. Pan Hancock nie ma wątpliwości, dokąd się udała, tak jak nie wątpi, że pewnego dnia do niej dołączy, i ta myśl jest dla niego wystarczającym pocieszeniem. Opłakuje tylko ich dziecię, bo zbyt szybko przekroczyło granicę między życiem a śmiercią, prześlizgując się z jednego zapomnienia na drugie, niczym człowiek, który we śnie przewraca się na drugi bok.

Z góry dobiega głos jego siostry, Hester Lippard, która przychodzi w każdy pierwszy czwartek miesiąca, by przetrząsać jego spiżarnię, pranie i bielizniarkę i reagować krzykiem na to, co w nich znajduje. Owdowiały brat to kłopotliwe dziedzictwo, lecz

i takie, które w przyszłości może przynieść korzyści jej dzieciom. Skoro pani Lippard okazała mu serce i zabrała ze szkoły swą najmłodszą pociechę, by prowadziła dom wuja, słusznie oczekuje nagrody.

– No i proszę, prześcieradła cuchną stęchlizną – mówi. – Gdybyś przechowywała je tak, jak ci radziłam... Zapisałaś wszystko w notesie?

Cichy głos mamrocze coś w odpowiedzi.

– A więc zapisałaś? Nie robisz tego dla mnie, Susanno, lecz dla siebie.

Następuje chwila ciszy, w której pan Hancock wyobraża sobie, jak biedna Sukie zwiesza głowę, policzki jej płoną.

– Więcej z ciebie kłopotu niż pożytku! Gdzie twoje czerwone nici? No gdzie? Znów je zgubiłaś? Jak myślisz, kto zapłaci za kolejne?

Jonah Hancock wzdycha i drapie się w głowę. Gdzie podziałą się szczęśliwa rodzina, która miała zamieszkać w tym domu wybudowanym przez jego dziadka i zakończonym przez ojca? Są tu umarli, nie ma co do tego wątpliwości. Czuje ich dotyk w skrzypiących podłogach, w grzbiecie balustrady, i słyszy w głosach kościelnych dzwonów – Świętego Pawła z przodu i Świętego Mikołaja z tyłu. Ręce cieśli okrętowych żyją tu, w długich krągłościach belek, które przywodzą na myśl wnętrza ogromnych statków; w nadprożach rzeźbionych w ptaki i kwiaty, anioły i miecze, stanowiących świadectwo pracy i wizji ludzi, zmarłych już dawno temu.

Nie ma tu dzieci, które zachwycąłyby się biegłością niezrównanych snycerzy z Deptford i dorastałyby w rytmie statków, co wypływają z portu lśniące i załadowane po brzegi, a wracają puste i sponiewierane. Dzieci Jonaha Hancocka wiedziałyby, tak jak wie to sam Jonah Hancock, co znaczy załadować na statek czyjąś wiarę i los i pchnąć je w nieznane. Wiedziałyby, tak jak wie to pan Hancock, że człowiek, który wyczekuje powrotu statku, nie

potrafi skupić się za dnia i nie śpi nocami, nie mogąc usiedzieć w jednym miejscu i czując w ustach gorzki smak. Taki człowiek jest opryskliwy wobec swoich bliskich lub wręcz przeciwnie – nazbyt sentymentalny; siedzi zgarbiony przy biurku, dokonując w kółko tych samych obliczeń. Obgryza paznokcie.

Cóż to za wiedza, skoro umrze wraz z Jonahem Hancockiem? Na co mu radości i smutki, skoro nie ma ich z kim dzielić? Po co mu twarz i głos, skoro cały obróci się w proch? I na co fortuna, skoro bez synów uschnie ona niczym winorośl, której nie ma kto oberwać?



Czasami jednak jest coś więcej.

Wszystkie podróże zaczynają się tak samo, kiedy mężczyźni zbierają się w kawiarniach, pocierają brody i ważą ryzyko oraz zobowiązania.

– Wchodzę w to – mówi jeden.

– Ja też.

– I ja.

Albowiem na tym świecie człowiek nie osiągnie nic w pojedynkę. „Dziel swój los razem z nami: jedna sakwa dla nas wszystkich”. Oto dlaczego roztropny mąż nie robi interesów z pijakami, rozpustnikami, hazardzistami, złodziejami i wszystkimi tymi, których Bóg może surowo ukarać. Dzieląc z nimi swój los, dzielisz z nimi ich grzechy. Jakże niewiele potrzeba, by mała łódka rozbiła się o skały. By cały ładunek spoczął w mroku, na głębokości pięciu sążni. Płuka żeglarzy mogą być zamarynowane w słonej morskiej wodzie, podobnie jak ich palce, lecz los tych mężczyzn leży w rękach Boga.*

A cóż mówi Bóg panu Hancockowi? Gdzie jest Kalliope, której kapitan od osiemnastu miesięcy nie daje znaku życia? Lato dobiega końca. Z każdym dniem słupek rtęci spada coraz niżej. Jeśli Kalliope wkrótce nie wróci, cała wina spocznie na nim. Co uczynił, by zastu-

*Prz 1, 14.

żyć na taką karę? Jeśli zaczął podejrzewać go o coś nieprzyjemnego, kto podzieli z nim swój los?

Gdzieś tam los się odwraca. W miejscu, z którego nie widać lądu, gdzie jak okiem sięgnąć, rozciąga się falująca, migocząca, zdradziecka woda, fala podnosi swój grzbiet i opada z westchnieniem, a jej przesycony solą szept dociera do uszu pana Hancocka.

„Ta podróż jest wyjątkowa”, głosi owo poszeptywanie, sprawiając, że panu Hancockowi serce zaczyna bić szybciej.

Ona wszystko zmieni.

I nagle, w ciszy swojego gabinetu, ten podupadły na duchu człowiek, kryjący twarz w dłoniach, czuje wielkie, niemal dziecięce, radosne wyczekiwanie.

Deszcz ustaje. Kotka miażdży zębami czaszkę myszy, a gdy się oblizuje, pan Hancock dopuszcza do siebie iskierkę nadziei.

ROZDZIAŁ DRUGI

Deszcz sprawia, że niewiele ptaków pozostaje na zewnątrz. Możliwe jednak, że jakiś kruk sfrunął właśnie z krokwi domu pana Hancocka i stroszy swe krepowe pióra, przechylając łeppek, by przyjrzeć się światu bladym, złym okiem. Kruk ten, jeśli rozłoży skrzydła, odnajdzie w nich wilgotny wiatr, który nawiewa z widocznych w dole ulic zapachy gorącej smoły i rzecznego błota oraz cuchnącą amoniakiem woń garbarni. A jeśli zeskoczy z parapetu i wzbije się ponad dachy Union Street, dotrze niebawem do doków, kołysek przyszlých statków, które nawet w niemowlęctwie górują nad okolicznymi budynkami. Niektóre z nich, wypolowane i nasmołowane, z powiewającymi dumnie flagami i puszczałymi oko galionami, aż rwą się do podróży; inne, ledwie żebra, świeżo wyciosane z drewna, między którymi hula wiatr, leżą w suchym doku, blade i nagie niczym szkielety wielorybów.

Jeśli kruk pofrunie stąd na północny zachód, podążając za zakole rzeki, i będzie leciał bez przerwy przez kolejne sześć mil... Cóż, czy to w ogóle możliwe w przypadku kruków? Jakie są ich zwyczaje? Jak daleko rozciąga się ich terytorium? Gdyby jednak to zrobił, gdyby poszybował, kiedy niebo się przeciera, dotarłby do Londynu i rzeki zwieńczonej po obu stronach blankami doków dużych i małych, niektórych wysokich, z żółtego kamienia, a innych skarłowaciałych, z wypaczonego czarnego drewna.

Nabrzeża i mosty zamykają się wokół wody, która po burzy unosi się i opada. Łodzie o białych żaglach kołysz się na niej, a żeglarze zbierają się na odwagę, by odbić swymi małymi stateczkami od brzegu i popłynąć z prądem. Z chwilą gdy słońce wyjrzy zza chmur, wyimaginowany kruk przeleci nad farmami melonów w Southwark, nad komorami celnymi, iglicą kościoła Świętej Brygidy, zatłoczonym placem Seven Dials, aż dotrze do Soho. Kiedy obniża lot, by przysiąść na rynn timer przy Dean Street, jego cień przemyka po oknie pewnego domu, wykradając z pokoju światło dnia, przez co twarz Angeliki Neal na krótką chwilę znika w mroku.

Angelica siedzi przy toalecie, spokojna i pachnąca jak sos waniliowy z wodą różaną, i leniwie sięga do misy pełnej owoców szklarniowych, podczas gdy jej przyjaciółka – pani Eliza Frost – wypłutuje jej z włosów ostatni papilot. Angelica ma na sobie zasznurowany gorset i niedbale narzucony peniuar, lecz jej policzki wciąż są zaróżowione od snu, a wzrok uparcie powraca do lustra i własnego skrzywionego odbicia, jak gdyby patrzyła na kochanka. W klatce śpiewa kanarek, wszędzie dookoła migoczą lustra, a na toalecie piętrzą się wstążki, kolczyki i małe szklane buteleczki. Każdego popołudnia toaletka jest wynoszona z ciemnej garderoby do słonecznego salonu, a wszystko po to, by nie marnować świec.

– Niedługo nie będzie takiej konieczności – mówi Angelica, spowita chmurą pudru do włosów. – Kiedy zacznie się sezon, a wraz z nim wyjścia, gdy będę mogła się pokazać, nasze życie stanie się dużo prostsze.

Na podłodze leżą zapisane drobnym drukiem, zdeptane trójkąty papilotów, wycięte z kazań Wesleyańskiego Kościoła Metodystycznego rozdawanych każdego dnia ładacznicom z Dean Street.

– Hm – mruży pani Frost. Chwyta kolejne kosmyki żółtych włosów przyjaciółki, tapiruje i upina je w wysoką miękką kupkę

na czubku głowy. Musi wyjąć spinki, które trzyma w ustach, zanim będzie mogła odpowiedzieć jak należy. – Obyś miała rację.

Spędzają w tych pokojach już drugi tydzień, płacąc banknotami z oszczędności, które – choć zazdrośnie strzeżone przez panią Frost – kurczą się w zastraszającym tempie.

– Martwisz się – mówi Angelica.

– Nie podoba mi się to. Ten brak stałych przychodów. Nie wiadomo, co przyniesie kolejny dzień...

– To nie moja wina. – Angelica otwiera szeroko oczy, a peniuar zsuwa się jej z ramienia.

To nie jej wina: nie dalej jak miesiąc temu była jeszcze na utrzymaniu pewnego księcia w średnim wieku, który ubóstwiał ją przez trzy lata wspólnego życia, ale zapomniał uwzględnić ją w testamencie.

– I nie podoba mi się, że każdy może cię mieć – mówi pani Frost.

Promienie słońca odbijają się od grzbietu szczotki. Pani Frost jest wysoka i szczupła. Nie maluje się, a skórę na twarzy ma gładką i napiętą jak skóra dziecka. Trudno określić jej wiek, albowiem cała jest jak jej sukienka: schludna i pospolita, co wieczór przecierana gąbką i trzymana z dala od światła.

– Każdy, kogo na to stać, co zdecydowanie zawęża krąg – odpowiada Angelica. – Posłuchaj, gołąbeczko, wiem, co myślisz, ale póki jesteś na moim utrzymaniu, nie muszę tego słuchać.

– Skompromitujesz się.

– A jak inaczej mam zarobić na pończochy dla nas? Proszę cię bardzo, powiedz mi. Ty, która tak skrupulatnie prowadzisz księgi. Daruj sobie, bo i tak wiem, co powiesz. Zrobisz mi wykład na temat mojej rozrzutności, ale pamiętaj, żaden mężczyzna nie da pieniędzy dziwce, która wygląda, jakby miała się zadowolić sześciopensówką. Muszę myśleć o swoim wyglądzie.

– Nie masz pojęcia o księgowości – mówi pani Frost. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo komplikuje mi życie.

Przez ciało Angeliki przechodzi prąd. Zaciska dłonie na podłokietnikach i tupie nogami z taką siłą, że papiloty budzą się do życia i trzepoczą zadrukowanymi skrzydłami.

– Moje życie jest bardzo skomplikowane, Elizo!

– Uspokój się. – Kolejny obłok pudru do włosów wzbija się w powietrze.

– Już dość! – Angelica macha rękami wokół głowy. – Bo stracą kolor.

Dba o swoje ciężkie złote loki, bo dzięki nim zaczęła się jej kariera. Jako dziecko była pomocnicą i modelką włoskiego balwierza i (jak wieść niesie) to u niego mała, pulchna Angelica nauczyła się sztuki szczotkowania włosów, a także zgłębiła tajniki sztuki miłosnej.

Kobiety milczą. Wiedzą, że w takich chwilach lepiej się nie odzywać, i urażone cofają się, niczym pięściarze, do narożników swoich umysłów. Pani Frost wrzuca do ognia garść papierów, a Angelica odwraca się do misy z owocami, jedno po drugim obrywa winogrona i składa je w dłoni. Zlizuje sok z nadgarstka. Skośne promienie słońca malują ciepłe wzory na jej policzku. Ma dwadzieścia siedem lat i nadal jest piękna, co zawdzięcza szczęściu, okolicznościom i zdrowemu rozsądkowi. Jej jasnoniebieskie oczy i zmysłowy uśmiech to dary natury; jej ciało i umysł nie poznały znojów bycia żoną; skórę ma czystą, szparkę pachnącą, a nos wciąż cały dzięki małym sakiewkom z owczych jelit – starannie płucze te sakiewki po każdym użyciu i przechowuje je w szafce, związane zielonymi wstążeczkami.

– Śmierć była najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić – zwraca się pojednawczo do pani Frost. – I to tuż przed sezonem.

Jej towarzyszka zbywa tę uwagę milczeniem.

To jednak nie zniechęca Angeliki.

– Teraz jestem całkowicie niezależna – dodaje.

– I to właśnie mnie niepokoi. – Pani Frost zaciska usta w wąską kreskę i kolejny raz atakuje włosy Angeliki.

– Ach, jakże będę korzystać z życia, teraz, kiedy nie mam wobec nikogo żadnych zobowiązań!

– I niczyjego wsparcia – przypomina jej pani Frost.

– Och, Elizo. – Angelica czuje na głowie chłodne palce przyjaciółki. Wrywa się i odwraca na krzesło, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. – Trzy lata nikogo nie widziałam! Żadnego towarzysztwa, żadnych przyjęć, żadnej zabawy. Siedziałam zamknięta w tym nudnym małym salonie.

– Spełniał wszystkie twoje zachcianki.

– I jestem mu za to wdzięczna. Ale wiele poświęciłam, sama wiesz. Ten artysta, który powiesił mój portret w Akademii. Malowałby mnie bez końca, gdyby książę mu nie zabronił. Czy nie zasługuję na to, by choć trochę zachłysnąć się wolnością?

– Nie ruszaj się, bo nigdy nie skończę.

Angelica odchyła się na krzesło.

– Byłam już kiedyś w gorszej sytuacji. Odkąd skończyłam czternaście lat, jestem na tym świecie samiuteńka jak palec.

– Tak, tak.

Pani Frost – zanim została panią Frost – czyściła paleniska w osławionej Świątyni Wenus pani Elizabeth Chappell, gdzie Angelica Neal – zanim została Angelicą Neal – tańczyła nagiuseńka.

– Czy to nie oczywiste? Skoro jeden mężczyzna się na mnie zdecydował, znajdą się też inni. Tymczasem muszę wrócić do towarzystwa, zacząć bywać we właściwych kręgach i pokazywać twarz, dopóki znów nie stanę się sławna. Oto co jest teraz najważniejsze. Sama wiesz, że żadna z wielkich kurtyzan nie jest specjalnie piękna, no, w każdym razie tych jest niewiele. A ja jestem piękna, czyż nie?

– Tak.

– A zatem – ciągnie Angelica – wszystko się uda. – Zatapia ząbki w brzoskwini, spogląda na swoje odbicie, przeżuwa i połyka.

– Zastanawiam się tylko... – zaczyna pani Frost.
– Wierzę, że mężczyźni uważają mnie za tak atrakcyjną jak nigdy dotąd – przerywa jej Angelica. – Nie muszę być wyra-
chowana i przymilać się do każdego, kto zwróci na mnie uwagę.
Sama mogę decydować.

– Ale nie...

– Myślę, że niebieska wstążka będzie najlepsza.

Na zewnątrz, na ulicy, powstaje wielkie zamieszanie. Podska-
kując na kocich łbach, najeżdża błękitne lando zdobione z obu
stron wizerunkiem złotego sfinksa z nagimi piersiami. Angelica
zrywa się na równe nogi.

– Już tu jest! Zdejmij fartuch. Albo nie, włóż go z powro-
tem. Nie chcę, żeby wzięła cię za jedną z nas. – Podbiega do
okna, w pośpiechu zrzucając z siebie peniuar.

Zachodzące słońce spowija widoczną w dole ulicę miodo-
wozłotą mgiełką. W landzie, otoczona grupką młodych kobiet
w białych muślinach, siedzi pani Chappell, przełożona King's
Place. Budową przypomina krzesło – zdaje się bardziej tapicero-
wana niż ubrana – a jej obfity biust niczym podgłówek wypycha
kremową taftę ze złotymi sutaszami. Kiedy lando się zatrzymu-
je, pani Chappell niepewnie podnosi się z siedzenia i wyciąga
upięścienione ręce. Dwaj Murzyni w błękitnych liberiach ze-
skakują ze stopni, by pomóc jej wysiąść.

– Znowu nowi służący. Biedni durnie – rzuca Angelica, pa-
trząc, jak Murzyni służą pani Chappell pomocą, podczas gdy
dziewczęta poprawiają materiał na obfitym zadzie matrony. –
Jeszcze nie wiedzą, że płaci im połowę tego, ile są warci.

Lando podryguje w górę i w dół, więc gdy pani Chappell
stawia stopę na bruku, widać błysk białej krochmalonej koron-
ki. Kilka małych piesków wyrывa się do przodu, tuż za nimi
wysiadają dziewczęta i wszyscy razem tłoczą się na ulicy – istny
festiwal puszystych ogonków i kapeluszy z piórkiem – podczas
gdy pani Chappell chwieje się, podtrzymywana przez lokajów.

– Sprytna jest, że zatrudnia czarnych, którzy niedawno przyплыnęli z Ameryki i nie znają własnej wartości – dodaje Angelica. – Wyobraź sobie, Elizo! Wyrwani z niewoli tylko po to, by służyć komuś takiemu jak ona.

Barwna parada gości na Dean Street wzbudza żywe zainteresowanie. Pracznica z tobołkiem na plecach syczy coś przez zęby, a terminująca u niej dziewczyna z włosami schowanymi pod czepkiem zatrzymuje się i patrzy jak urzeczona. Czterej chłopcy pogwizdują z uznaniem, a mężczyźni uchylają kapeluszy albo skłaniają głowy nad taczkami i szczerzą się od ucha do ucha. Dziewczęta uśmiechają się z wyższością i zamiatają spódnicami, ani na chwilę nie przestając się wachlować. Odsłaniają szyję i białą skórę przedramion. Angelica otwiera okno i wygląda na zewnątrz, jedną ręką osłaniając oczy przed słońcem.

– Moja droga pani Chappell! – woła, co sprawia, że dziewczęta stają się jeszcze bardziej rozemocjonowane, a wszystkie głowy obracają się w stronę okna. Słoneczne refleksy tańczą we włosach Angeliki. – Jak miło, że przyjechała pani z wizytą!

– Polly! – warchy pani Chappell. – Kitty! Elinor!

Dziewczęta stają na baczność. Oczy im błyszczą, wachlarze łopoczą w dłoniach.

– Elizo! – syczy Angelica. – Musimy przesunąć tę toaletkę. Pani Frost zaczyna układać w kupki wstążki i klejnoty.

– Z krótką wizytą – uprzedza pani Chappell, przyciskając dłoń do piersi.

– Wchodźcie, wchodźcie! – woła Angelica. Uwaga Dean Street skupiona jest wyłącznie na niej. – Napijemy się herbaty. – Odsuwa się od okna. – Chryste, Elizo! Mamy jakąś herbatę?

Pani Frost strzepuje z piersi kawałek różowego papieru.

– Zawsze mamy herbatę.

– Jesteś aniołem. Prawdziwym skarbem. Co bym bez ciebie zrobiła?

Angelica chwyta za jeden koniec toaletki, pani Frost za drugi i wspólnymi siłami, szurając po podłodze, przesuwają ją, uważając przy tym, by leżące na niej świecidełka nie pospadały. Owoce w misie trzęsą się i podskakują, a lustro grzechocze w ramie.

– Wiesz, po co przyjechała – dyszy Angelica. – Jesteśmy zgodne?

– Powiedziałam już, co o tym myślę. – Pani Frost sili się na skromność.

Drepcząc do tyłu z zastawioną drobiazgami toaletką, co rusz zerka przez ramię, żeby uniknąć zderzenia ze ścianą.

– Daj mi trochę czasu, a rozwieję twoje obawy. – Mijają wąskie, twarde łóżko pani Frost. – Szybciej, szybciej! Postawmy ją gdziekolwiek. Posprzątam, kiedy sobie pójdą. A teraz biegnij, biegnij im otworzyć. I nie zapomnij wytrzeć talerzyków, zanim je podasz. Maria kompletnie się do tego nie przykłada.

Pani Frost znika niczym błędny ogień, podczas gdy Angelica zostaje w ponurej garderobie i podziwia swoje odbicie w lustrze. Z daleka wygląda dobrze – drobna i elegancka – podchodzi jednak bliżej, opiera dłoń na blacie i wychyla się do przodu. Szkło jest zimne, a jej oddech pozostawia na nim obłoczek pary, który kurczy się i rozkwita, zasłaniając jej twarz. Obserwuje swoje źrenice, jak zwężają się i rozszerzają, i bada kształt ust, różowych i podrażnionych po wczorajszej popołudniowej pracy. Skóra wokół oczu jest tak biała i gładka jak wnętrze skorupki jajka. Na każdym policzku małe zmarszczki, jak ślad po paznokciu; trzecia, taka sama, widnieje między brwiami i pogłębia się, kiedy Angelica marszczy czoło. Słyszy dziewczęta chichoczące w korytarzu na dole i napomnienia pani Chappell:

– Cóż za roztrzepanie! Taka krnąbrność na ulicy. Czyżbym uczyła was, że tak macie się zachowywać?

– Nie, pani Chappell.

Angelica wyłamuje palec. Wraca do salonu, opada na krzesło i poprawia suknię.

– Będziecie z siebie dumne, jeśli jakiś mądrała napisze o tym w gazecie? Kiedy obwieszczą w „Town and Country”, że podopieczne pani Chappell, dziewczęcy kwiat Anglii, dokazują na ulicy jak, nie przymierzając, córki piwowarów? Bo ja z całą pewnością nie będę dumna. Podejdź, Nell, muszę się na tobie wesprzeć. Nie dam rady o własnych siłach wejść po tych schodach.

Oddychając chrapliwie, wsparta na ramieniu rudowłosej Elinor Bewlay, wchodzi do mieszkania.

– Droga pani Chappell! – wykrzykuje Angelica. – Tak się cieszę... tak bardzo się cieszę. Jakże miło panią widzieć.

Wszystko, co mówi, jest prawdą. Pani Chappell jest dla niej kimś w rodzaju matki i błędem byłoby przypuszczać, że profesja rzutuje na ich uczucia. Wszak nie tylko rajfurki zarabiają na własnych córkach.

– Posadźcie mnie, dziewczęta. Niech usiądę – prychna pani Chappell i z trudem rusza w stronę małego japońskiego krzesła, podczas gdy Angelica i panna Bewlay trzymają ją za ramiona, jak dziewczęta szamoczące się na wietrze z markizą.

– Nie tu! – rzuca bez tchu pani Frost, patrząc przerażonym wzrokiem to na patykowate nogi krzesła, to na potężne ciało pani Chappell.

– Tam! – piszczy ciemnooka Polly, Mulatka.

Przysuwa z kąta pokoju fotel i w ostatniej możliwej chwili stawia go na drodze pani Chappell. Rajfurka, choć słusznej tuszy, jeszcze podkreśla swoje obfite pośladki, kryjąc pod halkami korską poduszkę, więc kiedy siada, robi to z głuchym łupnięciem, aż w powietrze wzbija się obłok kurzu. Chwilę później, wyraźnie odprężona, wskazuje dłońmi swą lewą stopę, a Polly unosi ją delikatnie i kładzie na podnóżku.

– Moja droga – odzywa się pani Chappell, kiedy w końcu łapie oddech. Usta ma fioletoworóżowe. – Moja Angelico. Właśnie wróciłyśmy z Bath. Skróciłam pobyt... musiałam mieć pewność, że niczego ci nie brakuje. Z nerwów nie mogłam spać,

prawda, dziewczęta? Nie masz pojęcia, jak się zmartwiłam, kiedy usłyszałam, gdzie zamieszkałaś.

– Tylko na jakiś czas – wyjaśnia Angelica. – Zaszło finansowe nieporozumienie.

Zerka na dziewczęta, które przycupnęły na sofie i przechylając głowy, przysłuchują się ich rozmowie. Mają nieskazitelnie gładką skórę, a ich drobne ciała są kształtne jak ciała manekinów pod sukniemi, których nie powstydziałaby się sama Perdita*. Od nagości oddziela je ledwie tchnienie białego muszlinu i rząd tasiemek do ściągania.

– Nie przedstawiłam ci mojej Kitty – mówi pani Chappell i wyciąga ręce do najdrobniejszej z dziewcząt. – No dalej, wstań.

Kitty dyga, jak ją uczono. Jest patykowatą, nieco oszołomioną istotką o długiej szyi, dużych jasnych oczach, szarawych jak obwódka na odtłuszczonym mleku, i nieco zbyt przyciemnionych brwiach.

– Chudzina – zauważa Angelica.

– Ale wytworna – podkreśla pani Chappell. – Próbuje ją podtuczyć. Znalazłam ją w Billingsgate, całą w rybich łuskach i cuchnącą jak wody odpływu, prawda, dziewczyno? Odwróć się. Niech panna Neal ci się przyjrzy.

Suknia dziewczyny wydaje szeleszczący odgłos, a spomiędzy fałd unosi się zapach olejku pomarańczowego. Kitty porusza się powoli i ostrożnie. W kącie pani Frost nalewa herbatę do filiżanek, a Polly i Elinor rozdają filiżanki, podczas gdy ich opiekunka przemawia umęczonym głosem. Oddycha jak śpiewaczka operowa: przed każdym zdaniem wypuszcza powietrze i nabiera kolejny haust, by kontynuować swoją tyradę.

– Mówili, że miała ospę wietrzną. Ale chyba niegroźną – dodaje – bo nie został po niej żaden ślad. Wygląda jak panna

*Perdita (właściwie Mary Robinson) – żyjąca w latach 1758–1800 słynna aktorka i kurtyzana.

z wyższych sfer. Zobacz, jak się nosi. Nie ja ją tego nauczyłam, to wrodzony talent. Pokaż kostki, Kitty.

Kitty unosi rąbek sukni. Stopy ma drobne i wąskie, odziane w misternej roboty srebrne pantofelki.

– Potrafi mówić? – pyta Angelica.

– To nasze kolejne zadanie – mruczy pani Chappell. – Język też ma plugawy jak wody odpływu. Jeśli jeszcze raz otworzy usta, to ją odprawię.

Gdy obie przyglądają się dziewczynie, zapada cisza, a w każdym razie milczenie, bo pani Chappell nawet podczas odpoczynku rzeźbi niczym dudy.

– Trzeba będzie nad nią popracować – zauważa Angelica.

– Takie lubię najbardziej. Przeciętne dziewczęta przysparzają mi najwięcej problemów. Uczęszczały do szkółek powszechnych. Uczyły się grać na fortepianie. Są przekonane, że potrafią się zachować. Wolę małe szelmy z ulicy niż córki rzemieślników.

– Ja byłam córką rzemieślnika.

– I spójrz tylko na siebie! Mam z tobą same kłopoty! Gonisz za każdą fanaberią. Aż boję się myśleć, co za chwilę strzeli ci do głowy: wyjdiesz za mąż czy podejmiesz kilku zacnych gości. Albo skończysz na ulicy... – Przez chwilę pani Chappell brakuje tchu, patrzy więc na Angelicę załzawionym wylupiastym okiem. – A nie do tego cię szkoliłam.

– Nigdy nie robiłam podobnych rzeczy – oburza się Angelica.

– Słyszałam to i owo.

– Zdarzało mi się, że wystawałam na ulicy. Ale która z nas nie była w takiej sytuacji?

– Nie moje dziewczyny. Masz pojęcie, jak twoja reputacja wpływa na moją? – Odchrząkuje i przechodzi do konkretów: – Panno Neal, wiem, że nieszczęście, które cię spotkało, nie jest twoją winą, a wielu naszych najlepszych klientów wyraża się o tobie w samych superlatywach. Od śmierci księcia nic tylko

o ciebie rozpytuja. „Gdzie nasza ulubiona blondyneczka?”, pytają. „Gdzie nasza towarzyszka zabaw o pięknym głosie?”. Co mam im powiedzieć? – Przyciska dłoń Angeliki do krepdeszynowej piersi.

– Może im pani podać mój adres – odpowiada Angelica. – Sama pani widzi, że zdążyłam się tu zdomowić. To taka wytworna okolica.

– Och, Angelico, ale jesteś tu zupełnie sama! Serce mi pęka, kiedy widzę, że nikt nad tobą nie czuwa. Moja droga, mamy dla ciebie pokój... zawsze na ciebie czeka. Może rozważysz to i wrócisz do nas?

Polly, Elinor i Kitty zostały poddane najbardziej rygorystycznym i ekskluzywnym naukom, lecz kiedy czują, że nikt się im nie przygląda, na powrót stają się dziewczynkami i teraz jedna przez drugą podskakują na sofie. Są pod wrażeniem urody Angeliki i pragną, by została ich starszą siostrą, by śpiewała razem z nimi i uczyła je, jak upinać włosy. Późną nocą, kiedy mężczyźni już padną, może je poczęstuje gorącą czekoladą i opowie im historie z czasów swej skandalicznej młodości. Patrzą, jak pani Chappell wychyla się, by nakryć dłonią rękę Angeliki.

– Kamień spadnie mi z serca, kiedy znowu będę cię miała pod swym dachem.

– Za to pani sakiewka stanie się cięższa – odpowiada Angelica z uroczym uśmiechem.

Pani Chappell ceni sobie szczere rozmowy, lecz tylko wówczas, gdy odbywają się na jej zasadach.

– Z pewnością nie – prycha. – Nie to jest moją główną troską. Chodzi przede wszystkim o to, by zapewnić ci ochronę. Zastanów się nad tym, moja droga. Oddany medyk i towarzystwo wyłącznie odpowiednich mężczyzn... wszak tym nieodpowiednim odmawiamy wstępu. Poza tym żadnych rachunków ani komorników. – Niczym polująca kotka z uwagą przygląda się Angelice. – Mieszkamy w niebezpiecznym mieście. – Poklepuje ją po ręce i ciągnie

jowialnie: – A gdy znajdziesz nowego opiekuna... cóż, nic nie mów. Będiesz mogła niezwłocznie odejść.

Twarz stojącej w kącie pani Frost to obraz rozpaczcy. Próbuje przyciągnąć wzrok Angeliki, ale ta nie może na nią spojrzeć. Nie jestem taka młoda jak te podlotki, myśli sobie. Zostało mi kilka lat w towarzystwie, zanim moja uroda zacznie więdnąć.

Na głos jednak mówi:

– Wiedziałam, że będzie pani chciała, żebym wróciła. I dziękuję, że pamiętała pani o mnie. Jest pani prawdziwą przyjaciółką.

– Chcę ci tylko pomóc, ptaszyno.

Angelica z trudem przełyka ślinę.

– Czy zatem mogę skierować pani pomoc tam, gdzie jest ona najbardziej potrzebna?

Jest to prośba, która trafia tylko do bardzo nielicznych matek. Pani Chappell odchrząkuje znacząco.

– Ufam, że jako roztropna kobieta interesu – ciągnie Angelica – zastanawiała się pani, na czym naprawdę polega moja wartość. Na stałej obecności w pani domu? Czy na rosnącej pozycji w towarzystwie?

Urywa i patrzy na pulsujące nerwowo obwisłe policzki pani Chappell. Dziewczęta, dobrze odżywione i ubrane, przypatrują się jej. Pani Frost przysiadła na taborecie przy drzwiach. Angelica kątem oka widzi, jak przyciska dłoń do piersi i wszytej w gorset sekretnej kieszeni, w której trzyma kurczący się plik banknotów.

– Proponuję kompromis – mówi. Nikt się nie odzywa. Kolejne słowa stanowią dla niej nie lada wyzwanie, ale odczekawszy trzy, cztery sekundy, powoli wypowiada je na głos: – Zamierzam sama o siebie zadbać. To odpowiedni moment, z pewnością rozumie to pani.

Pani Chappell zastanawia się przez chwilę. Językiem – zaskakująco różowym i wilgotnym – zwilża poszarzałe wargi. Wciąż jednak milczy.

– Niemniej jako przyjaciółka – dodaje Angelica – wyświadczę pani przysługę i pojawię się w pani domu. Chcę, by pani wiedziała, że może po mnie posłać zawsze, gdy będę potrzebna, ale w zamian żądam wolności. Ufam, że kolejne lata mojego życia mogą być bardzo owocne: dowiodłam, że jestem dobrą utrzymanką i dla właściwego człowieka mam szansę być nią znowu, jeśli tylko będę w stanie go podejmować.

– Myślisz, że dasz sobie radę sama?

– Niezupełnie sama. Będę potrzebowała pani pomocy. Wszak to pani wprowadziła mnie do towarzystwa. Czy mam na tym poprzestać? I czemu zawdzięczam swój sukces, jeśli nie pani naukom?

Uśmiech pani Chappell rozkwita powoli, lecz z całą swoją mocą. Jej dziąsła są blade i szerokie, a zęby żółte i podługne, jak klawisze klawesynu.

– Dobrze cię wyszkoliłam – pieje. – Nie jesteś zwyczajną dziewczyną, jesteś kobietą majątną. Tego właśnie chcę dla wszystkich moich dziewcząt, dla każdej kruszyny, która wyszła spod moich skrzydeł. Kitty, Elinor, Polly... zwłaszcza ty, Polly... zapamiętajcie to sobie. Macie szansę zaistnieć w towarzystwie i musicie w nim zaistnieć. Ambicja! Ambicja to rzecz najważniejsza! Żadna z moich dziewcząt nie będzie zwykłą ulicznicą.

Serce Angeliki tłucze się pod gorsetem. Przez krótką chwilę cały świat wiruje wokół niej; nigdy dotąd nie poważyła się na taką beczelność. Po tym, jak pani Chappell i jej dziewczęta wyszły, machając rękami i wykrzykując czułe słówka, rozradowana opada na sofę.

– Oto dowód – zwraca się do pani Frost, która ze spuszczoną głową, szybkimi, nerwowymi ruchami sprząta filiżanki i spodeczki. – Nie stać ją na to, by uczynić mnie swoim wrogiem. Zrobi, co zechce.

– Nie powinnaś była jej odmawiać – mówi pani Frost; jej usta są zaciśnięte, a słowa skąpe.

– Elizo? – Angelica siada prosto. Próbuje spojrzeć przyjaciółce w oczy, ta jednak unika jej wzroku. – Och, Elizo, jesteś na mnie zła.

– Mogłaś wziąć pod uwagę nasze bezpieczeństwo – wyrzuca z siebie pani Frost.

– Jesteśmy bezpieczne. Albo raczej będziemy. Wierzę w to, nawet jeśli do tej pory było inaczej. Matka Chappell ma nosa do interesów. – Nie podoba jej się chłodna, pełna napięcia postawa przyjaciółki. Podrywa się z sofy, podchodzi do niej i przemawia błagalnym głosem: – Moja droga, moja gołąbeczko, usiądź ze mną. No już, chodź. – Kładzie rękę na jej ramieniu i delikatnie pcha ją w stronę sofy, ale pod warstwą bawełny i tafty ciało pani Frost przypomina lalkę wyciosaną z drewna. – Przysięgam, że o nas zadbam. Poradzimy sobie.

Zupełnie jakby Angelica była duchem, którego nie sposób usłyszeć ani poczuć, pani Frost nieco mocniej związuje tasemki fartucha, bierze tacę z naczyniami po gościach i wychodzi z pokoju.

– Nie, nie – mówi Angelica. – Nie zostawiaj mnie tak. Miejże litość. – Pani Frost idzie jednak dalej, nie oglądając się za siebie. Podoba jej się to, myśli Angelica. Chce, żebym ją błagała. Co za nonsens! – Jak sobie chcesz! – rzuca na głos. Staje na szczycie schodów i krzyczy: – Jesteś niemądrą, upartą kobietą!

Ale pani Frost już jej nie słyszy.